



Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej
wydawany dzięki dotacji Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia

Życie to nie wyrok

Dobrze może jest u kolegów i u koleżanek, ale nie u mnie. W moim małżeństwie coś nie grało już od samego początku. Nigdy nie myślałem o posiadaniu dzieci, byłem na to stanowczo za młody. Ewę poznałem na bibie u Przemka w Karpaczu. Starych nie było, balety udały się genialnie. Rano obudziłem się w objęciach Ewki. Nasze następne spotkanie było koszmarem. Przyszła do mnie i powiedziała prosto z mostu:

– Cześć. Będziesz ojcem.

Nie przypuszczałem, że chwila przyjemności zamieni się w dożywocie. Wszyscy na osiedlu o niczym innym nie mówili, tylko o tym, że siedemnastolatka jest w ciąży. Sensacja roznosiła się lotem błyskawicy. Ja mam być ojcem? Absurd. Byłem za młody, nie chciałem nawet słyszeć o dziecku, małżeństwie. Ewki nie znałem i znać nie chciałem. Nie miała zbyt dobrej opinii, a wielu chłopaków ją znało i to bardzo dobrze.

– Może mnie wkręca? A może to zwykła pomyłka? Przecież to jakiś koszmar! – zastanawiałem się ciągle.

Moja mama przeżyła szok,

przez to jedno zdanie

runął cały jej świat. To ona utrzymywała rodzinę, ojciec zginął w wypadku kilka lat wcześniej. Miała wobec mnie plany i marzenia, a ja wszystko zaprzepaściłem. W domu panowały surowe zasady, mama zawsze mówiła, że granice stabilizują zachowanie. Nawet jej się nie śniło, że tak szybko może zostać babcią. Kolejne dni były tylko ciągłymi kłótniami.

– Wojtek, powiedz, że to tylko sen! Dlaczego jesteś takim bez-

Patrząc z perspektywy czasu, mam poczucie, że życie samo napisało za mnie scenariusz. Niedawno myślałem tylko o nowym modelu telefonu, markowych ubraniach czy laskach. Często sięgałem po alkohol, papierosy i łatwe dziewczyny, aby „ureczywistnić” marzenia o dorosłości. Dzisiaj jestem żonaty i wielu czynów żałuję.



Rys. Jan Choczaj

mózgowcem? Nie wierzę w to! Słyszysz? – krzychała bez przerwy. Koniecznie musisz coś wymyślić!

– To co mam teraz zrobić? Powiesić się? Przecież ja dziecka na ręce nie wezmę!

– Przestań narzekać. My nie mogliśmy się doczekać, aż się urodzisz, a Ty nawet nie myślisz o własnym dziecku!

Miałem pustkę w głowie. Nie wiedziałem, co robić. Może alimenty?

Wtedy mama powiedziała bolesną prawdę: – Robić dzieci umiecie, ale wychować to już nie chcecie.

I gdy już zupełnie nie wiedziałem co robić, usłyszałem od matki to, czego obawiałem się najbardziej.

– Nie masz wyjścia. Ożeń się z nią.

Chwila przyjemności kosztowała mnie bardzo drogo. Małżeństwo za wszelką cenę, żeby tylko ludzie nie gadali.

Pozbawiono mnie wyboru życiowego partnera, szansy na znalezienie prawdziwej miłości. Uważała, że skoro dziecko nas połączyło, trzeba to prawnie uregulować. Decyzja o ślubie została podjęta w biegu. Ewki mama była zaskoczona i zawstydzona. To wszystko było tylko grą pozorów.

Teściowa bardziej zajmowała się sobą niż przyszłym wnukiem. Moja przyszła żona mnie nie interesowała. Koledzy się ze mnie nabijali. Mama

martwiła się o przyszłość dziecka,

tłumaczyła, że takie z nieformalnego związku ma w życiu gorzej. Nie pozwoli na to, żeby jej wnuk pytał się kiedyś, dlaczego nie ma taty. A ja nie chciałem spędzić reszty życia z dziewczyną, której właściwie nie znamem i nic do niej nie czuję. Nie zdążyłem zdobyć wykształcenia, ani się wyszaleć. To dziecko i ślub przekreślają moje ambitne plany życiowe i nikt nie chce mnie wysłuchać. Tuż przed ślubem próbowałem gadać jeszcze o tym wszystkim z Ewką, ale ona była zbyt przerażona. Ślub był cichy, znajomi nie mieli wstępu. Po ślubie mieliśmy zamieszkać u mojej mamy.

W naszym małżeństwie od samego początku było coś nie tak. Co innego jest bawić się z kimś, a co innego z kimś żyć. W grudniu urodził się Marek. Zacząłem wierzyć, że dziecko scementuje nasz związek. Ale nic z tego. Przez cztery lata małżeństwa Ewka więcej czasu spędzała z własną matką niż ze mną. Mnie to pasowało, bo miałem czas na alkohol.

Jeden dzień zapamiętam na zawsze. Ewa oznajmiła, że wyprowadza się do mamy. To było najlepsze rozwiązanie. Rozwód dostaliśmy bez orzekania o winie. Teraz chcę zacząć studia. Jeszcze mam szansę na własny scenariusz życiowy.

JAN CHOZAJ

Przedszkole w gimnazjum

Krzyki, wulgaryzmy, bójkki na korytarzach i często bezradne nauczycielki próbujące zapanować nad gimnazjalistami z plecakami większymi od nich samych. Ten czas zabawny lub też w pewnym stopniu szokujący widok nie robi już na nikim wrażenia. Wielu pedagogów, psychologów dziecięcych, a nawet uczniów uważa, że podział na szkołę podstawową i gimnazjum jest sztuczny, a co za tym idzie, niesie za sobą szereg problemów.

Imprezy, papierosy, alkohol... Dzieci w wieku 13 lat zmieniają szkołę i wydaje im się, że są już dorosłe i wszystko im wolno. Nie mają szacunku dla nauczycieli i do siebie nawzajem. Dodatkowo często gimnazjum połączone jest z liceum, co jeszcze potęguje przedwczesne dojrzewanie oraz wzorowanie się młodszych uczniów na swoich starszych kolegach i koleżankach.

„Dorosłe” dzieci

Zespół Szkół nr 5, w skład którego wchodzi: XIII Liceum Ogólnokształcące i Gimnazjum nr 49. Stojąc przy wejściu do szkoły i obserwując wchodzącą do niej młodzież, człowiek zaczyna się jednak zastanawiać, czy jest to także podstawówka. Widok roz-

krzyżanych, sięgających nieco ponad 150 centymetrów wzrostu dziewczynek i chłopców, uginających się pod ciężarem własnych plecaków, nieco dziwi.

Nauczyciele robią, co mogą, by zredukować poczucie bezkarności wśród wychowanków, ale i tak prośby i groźby na niewiele się zdają. Te problemy zawsze były, a reforma jeszcze to pogłębiła. Trzynastolatki widząc, jak licealiści wychodzą w trakcie przerwy na papierosa lub słysząc, że w klubie szykuje się kolejna impreza, automatycznie nabierają ochoty na to samo. Do tego dochodzi nowe towarzystwo związane ze zmianą szkoły po ukończeniu podstawówki, które, jak się okazuje, nie zawsze jest odpowiednie.

Bezstresowo

Cisza i spokój w szkole średniej bez gimnazjum z pewnością sprzyjałyby nauce oraz wpłynęłyby na postępy w przyswajaniu wiedzy. Powrót do starego systemu zagwarantowałby cztery lata przygotowań do matury (a nie trzy, jak jest obecnie). Dziś materiał przerabiany jest w tempie przyspieszonym, co nie służy ani nauczycielom, ani tym bardziej uczniom. – Pamiętam jak za moich czasów mieliśmy co najmniej trzy tygodnie na przeczytanie lektury. Dziś moja córka ma na to zaledwie tydzień, a to przez to, że czasu jest mało, a materiał musi zostać zrealizowany – mówi mama jednej z licealistek XIII LO we Wrocławiu.

I co dalej?

Nie ulega wątpliwości, że powrót do starego systemu szkolnictwa wyszedłby na dobre zarówno uczniom, jak i nauczycielom. Również rodzice byłiby zadowoleni, gdyż nie musieliby się martwić, że ich pociechy rozrabiają w nowej szkole, a nowe otoczenie działa na nich destrukcyjnie. Być

może spadłaby agresja wśród nastolatków oraz liczba młodocianych samobójstw, które pomimo tego, że rzadko, zdarzają się najczęściej w tym wieku. Maturzyści otrzymaliby dużo obszerniejszą wiedzę, pomocną na egzaminie dojrzałości. A zatem – może czas pomyśleć o zmianie?

ADRIANA LENART



Fot. Ewa Ługowska

Okiem
RecenzentaMucha
warta miliony

Owad siedzący na pigułce to okładka nowego krążka kalifornijskich dinosaurów funk rocka. A owad nie byle jaki, bo Red Hot Chili Peppers wynajęli do zaprojektowania obrazka Damiana Hirsta, uważanego za najdroższego współczesnego artystę. Z czymś nam to się kojarzy? A The Rolling Stones i Andy Warhol, który zrobił dla nich słynny rozprek na „Sticky Fingers”? Czyżby Red Hoci chcieli stać się instytucją nie tyle w wymiarze muzycznym, co kulturalnym?

I'M WITH YOU to dziesiąta studyjna płyta papryczek, wydana nakładem Warner Bros. Do jej produkcji muzycy zaprosili po raz szósty Ricka Rubin, współpracownika m.in. Metalliki czy U2. Na nic jednak by się zdał brodaty mistrz konsolety bez zespołu, który ostatnimi czasy bardziej interesuje biznes niż muzyka. Bo mam wrażenie, że częściej słyszę o tej płycie niż ją samą.

Poprzedni album Red Hotów, dwupłytywca wydawnictwo „Stadium Arcadium”, ukazał się pięć lat temu. Logika każe sądzić, że skoro czekaliśmy tak długo, dostaniemy do rąk prawdziwe dzieło sztuki. Na pierwszy rzut oka wydaje się być nieco inaczej. Przyniosłem krążek do domu, przesłuchałem raz, drugi, piąty. Nic się nie dzieje. Ani noga się nie poderwała, ani zęby nie zgrzytają, nie wspomnę o ciarkach, jakie wywołuje chociażby „Dani California” ze „Stadium...”. Leci utwór za utworem, są bezpieczne, a teksty słabo wpadają w ucho.

Jeśli jednak pozbedziemy się wszelkich oczekiwań i z otwartą głową włożymy „I'm with you” do odtwarzacza, ta płyta nas wciągnie. Nie ma na niej hitów, brak klasyków na miarę „Californication”. Czy spowodowało to odejście Johna Frusciante, gitarzysty i głównego twórcy kompozycji? W pewnym stopniu tak, ale oni dalej grają swoje. Już nie taki skoczny i wesoły rock, jak dwie dekady temu. Mamy chwilę zadumy przy „Brendan's Death Song”. To piosenka o śmierci przyjaciela wokalisty, Anthonego Kiediesa.

Dostaliśmy kawał dobrej muzyki, mniej papryczkowej, a bardziej stonowanej, dojrzałej. Mistrzowie rytmu, czyli Flea i Chad Smith, jak zwykle przyspieszają bicie serca. W tle mamy mnóstwo smaczków, jak organy czy dęciaki. Przez akustyczne „Police Station”, brudne i garażowe „Goodbye Horay” po singlowy „The Adventures Of Rain Dance Maggie” przeżywamy podróż, podczas której przewodnikiem jest niezmienny od lat wokalista Anthony'ego. Młoda krew w zespole, czyli gitarzysta Josh Klinghoffer, nie sprawił niespodzianki. Zrobił dobrą robotę, choć czasem w jego grze słychać rękę Frusciante'go.

Zachęcam do sięgnięcia po tę płytę, ale z otwartym umysłem. Lepiej nie zwracać uwagi na medialny ferment, który powstał przed premierą. Czy był potrzebny? Nie wiem. Swój apetyt na papryczki zaspokoilem.

TOMASZ
KRAJCARSKIJednowymiarowość
w trójwymiarze HELIOS

Pierwsza w naszym kraju, pełnometrażowa produkcja zrealizowana w 3D. Polskie miasta toną w promujących ją plakatach. Gloryfikowana przez media, a jej fabuła do znudzenia wątkowana przez krytyków filmowych. Czy „Bitwa Warszawska” Jerzego Hoffmana to kolejna nieudana próba zawiadnięcia światowym kinem?

Zamysł był przewidywalny. Miała to być superprodukcja z wykorzystaniem nowej techniki, która dziś jest dumą nie tyle samego reżysera, co całej ekipy filmowców. Może to i lepiej, bo nie mam sumienia obarczać winą za całokształt samego Hoffmana. Darzę go szacunkiem chociażby ze względu na poprzednie filmy, które wyszły spod jego ręki. Wielki epicki fresk historyczny, wybrany jako temat przewodni przez reżysera i sponsorów, wymagał nie lada widowiska. Sceny, obrazujące potęgę wojska, opatrzone zjawiskami trójwymiarowymi, stworzone zostały na wysokim poziomie. I przyznać trzeba, że efekty specjalne wcale nie ranią tego filmu, nie pokazują jak daleko nam do rangi europejskiej kinematografii. Duża w tym zasługa mistrzowskich zdjęć Sławomira Idziaka, który wykonał kawał porządnej roboty, i to właśnie za jego sprawą sekwencje batalistyczne robią olbrzymie wrażenie. Całość opleciona dobrze dopasowaną do scen muzyką Krzesimira Dębskiego podpowiada widzowi, gdzie powinien się zatrwożyć, a gdzie zapłakać.

Gorzej, że dobre strony filmu w tym momencie właściwie się kończą. Fabuła jest nieskomplikowana i schematyczna, tak aby dotarła do każdego widza i była

nałęczona zrozumiana. Mamy wojnę. Mamy miłość, ale nikt nie postarał się o to, abyśmy w to uczucie uwierzyli. Siedząc w kinowym fotelu, nie czekamy aż Janek (Borys Szyca), który po

wrócisz” i ten schematyczny, patriotyczny motyw: on – walczący za ojczyznę, ona – czekająca na ukochanego, a gdy naród jest w potrzebie – sama wstępuje do wojska. Sceny, w których filmowa



Rys. Dominika Sobieraj

otrzymaniu rozkazu wyjazdu na front polsko-bolszewicki wróci po zakończonej bitwie do swojej narzeczonej Oli, aktorki teatru rewiowego (Natasza Urbańska). Nie ma bowiem pomiędzy postaciami żadnej chemii. Związek jest sztuczny i wyidealizowany. Ich miłość to zdawkowe: „Kocham Cię, Janku”, „Obiecuję, że

Aleksandra strzela z karabinu, trzymając go jak zabawkę, albo w momencie, gdy jako jedyna uchodzi z życiem wśród tysięcy trupów, są wręcz karykaturalne. Momenty, które powinny wprowadzać widza w zadumanie, bawią i śmieszą. Nie mówiąc już o tym, że w połowie filmu nie wiemy, kto właściwie jest głów-

Współczesnego człowieka, którego chlebem codziennym są szokujące wiadomości i skandale, ciężko cokolwiek zaskoczyć czy zaszokować, a już na pewno trudno uczynić to artyście. Już nawet strój zrobiony z mięsa, w którym sławna piosenkarka zaprezentowała się na gali, nie wzbudza aż tak dużego zainteresowania. Stworzenie dziś czegoś oryginalnego i pięknego wymaga więcej kreatywności i wyjścia poza znane dotychczas pojęcie sztuki.

Kamienie, zapalki...

Bill Dan opowiadał trudną sztukę układania kamieni jeden na drugim w sposób, który pozornie przeczy prawom fizyki. Trudno uwierzyć, że nie użył żadnego kleju, dopóki nie zobaczy się filmu prezentującego tworzenie tych konstrukcji.

Także zużyte zapalki da się ułożyć w taki sposób, aby powstało coś pięknego. Tulipan, płonące serce, motyl z dymu czy ognisty łabędź to tylko niektóre z uwiecznionych na fotografiach dzieł Stanisława Aristowa.

Sztuka z kapusty

Willard Wigan tworzy za to rzeźby nieduże, ale robiące ogromne wrażenie. Kto by się spodziewał, że karawana wielbłądów, jacht czy scena



Fot. Magda Pacek

Kapuściany portret

O czym myślimy, kiedy mówimy o sztuce współczesnej? O niezrozumiałych obrazach, na których nie widnieje nic poza plamą na środku, a które mimo wszystko wystawiane są w prestiżowych galeriach, a koneserzy kupują je za grube pieniądze? Czy naprawdę nie da się stworzyć już nic, co zachwyci nawet laika? Może faktycznie trudno namalować oryginalny obraz na miarę Van Gogha, ale na szczęście jest grupa ludzi, którym udało się wymknąć kanonowi sztuki i tworzą ją tam, gdzie nikt się jej nie spodziewał.

ładowania na Księżycu zmieszczą się w uchu igielnym?

Ze związanych przez Adrienne Antonson pukli ludzkich włosów z powodzeniem powstają kolekcje owadów, a Isaac Salazar wycina słowa i wzory w książkach. Za to Carlos Meira uczynił sztukę z wycinanek, tworząc z papieru piękne obrazy.

Niewystarczająco wyjątkowe? To może Marilyn Monroe z kapusty pekińskiej? Dla amatorów

warzyw kapuściane panie tworzy chińska artystka Ju Duoqi.

Zaskakujące portrety

Także pozornie zwyczajny portret może zadziwić, gdy po wyteżeniu wzroku okaże się, że jest on stworzony z kolorowych słów. Juan Osborne i Huy Lam właśnie w taki sposób przedstawiają wizerunki sław i ikon społeczeństwa. Ten drugi o swojej sztuce mówił, że ma pokazać, jak ważna jest percepcja i spowodować do myślenia, dyskusji, a nawet śmiechu.

Odnaleźć można także portrety wykonane z pinezek czy śrubek.

Coś wyjątkowego, ale nie dla każdego

Na pytanie, czy tego typu dzieła można uznać za sztukę, odpowiedzi są skrajnie różne.

– Oczywiście, że tak! Wykorzystanie przedmiotów codziennego użytku dla celów artystycznych jest bardzo oryginalne. Bardzo lubię na przykład fotografa Edwarda Westona, który robi zdjęcia warzyw przypominające kobiece ciało. Zainspirowało mnie to i także eksperymentowa-

nym bohaterem. Wątek Szyca jest urwany, a sam aktor znany z wielobarwności stapia się ze scenografią, jest mało wyrazisty i przez ponad dwie godziny oczekujemy od niego czegoś więcej.

Z całej obsady na uwagę zasługuje jedynie Adam Ferency, który znakomicie odegrał rolę czekisty Bykowskiego, ucieleśniającego okrutne oblicze bolszewickiej rewolucji, czy Daniel Olbrychski w kreacji marszałka Piłsudskiego. To oni na chwilę odwracają uwagę od nieudolnianej Nataszy Urbańskiej, która radzi sobie na ekranie dobrze, dopóki jej gra aktorska ogranicza się do śpiewu i tańca. Po obejrzeniu filmu mamy jednak wątpliwości, co było w nim najważniejsze. Miłość do ojczyzny? Gotowość do poświęceń? Uczucie Oli i Jana? Bohaterstwo? Brak głównego wątku wprowadza chaos, pewien niesmak, a widz szybko się zniechęca. Trójwymiarowość w zetknięciu z niedopracowanym scenariuszem staje się jednowymiarowa...

Właściwie dorośliśmy już do tego, że larum podnoszone przez media i reklama polskich „superprodukcji” nie są proporcjonalne do ich jakości. Do tego, że nikt nie szanuje inteligencji widzów, też się przyzwyczailiśmy. „Bitwa Warszawska” to kolejny film, na który wybiorą się szkoły czy ludzie zwabieni chwytami reklamowymi i pieniądze z jego realizacji szybko się zwrócą. Szkoda tylko, że przyszło nam żyć w czasach, gdy odkurzona kaseta wideo z filmami typu „Quo vadis” jest po stokroć lepsza niż dzisiejszy kinowy przebój.

PATRYCJA PIETRUSZKA

łam w podobny sposób – opowiada Magda Pacek, uczennica wrocławskiego LO i fotograf.

Magda Haglauer, uczennica tej samej szkoły i rysownik z zamiłowania, ma odmienne zdanie: – Sztuka współczesna? Nie wiem, dlaczego to w ogóle nazywane jest sztuką. Nie wymagam od malarza, by tworzył ciągle podobne do siebie, sztapowe obrazy olejne, ale „dzieło”, w którym nie widzę żadnych emocji, zupełnie do mnie nie przemawia. Większość współczesnych prac nie niesie ze sobą żadnego przekazu, może oprócz jednego, że artysta prawdopodobnie był pod wpływem jakichś środków halucynogennych.

Powiew świeżości

Piękne, klasyczne malowidła i majestatyczne rzeźby, bez względu na pomysły współczesnych artystów, zawsze pozostaną wyjątkowo cenne i będą miały swoich zwolenników. Nowoczesna sztuka nie musi się podobać, ale chociaż nie skłania do refleksji, cieszy oko, jest zaskakująca i wyjątkowa, a czasem nawet wywołuje mimowolny uśmiech.

MONIKA PARDA

Sztuka dla dzieci

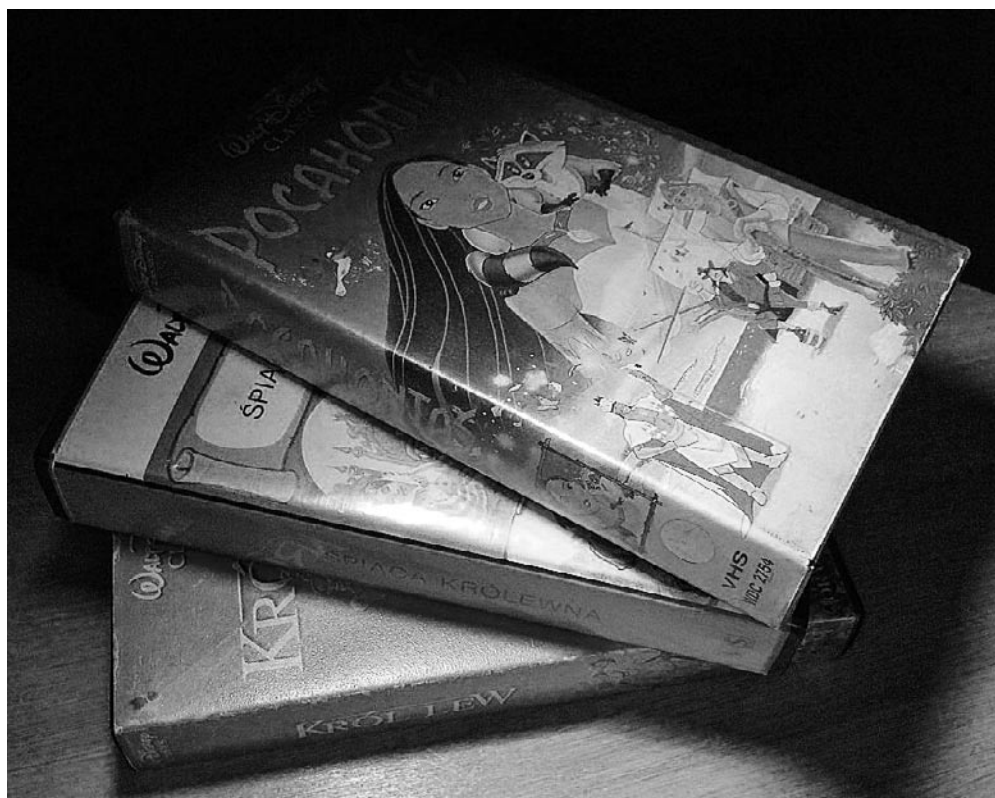
Wokół spotykam się z opiniami, że dzisiejsze bajki są na dużo niższym poziomie, niż te z młodego dzieciństwa. Przyznaję, że po części zgadzam się z tą tezą, jednak nie moim zadaniem jest krytykowanie obecnych produkcji. Pragnę jedynie podkreślić, jak duże znaczenie, nie tylko dla dzieci, ale także dla ich rodziców, mają wartości przekazywane w starych filmach animowanych oraz jaki ta twórczość miała wpływ na rozwój emocjonalny mój i moich rówieśników.

Korporacja The Walt Disney Company istnieje od 88 lat. Pierwszymi bohaterami, których twórcą jest sam Walt Disney – założyciel firmy, animator, producent, aktor, a przede wszystkim ojciec kina animowanego, są Myszka Miki, Kaczor Donald i Pies Pluto. Twórca całe życie kreuje kolejne kultowe postacie. Gdy artysta umiera, firma nie zaprzestaje produkcji. Wręcz przeciwnie, tworzy coraz to lepsze filmy, produkcja nabiera tempa.

Eric Goldberg we współpracy z Mike Gabrielem w 1995 roku stworzyli „Pocahontas” – przepiękny musical na podstawie prawdziwej historii o odważnej indiańskiej księżniczce. Fabuła mówi o miłości dzikiej nastolatki i angielskiego poszu-

kiwacza złota. Jednak bajka ta przekazuje zdecydowanie więcej niż tylko historię młodzieńczego

uczucia. Opowiada o jedności ludzi wszystkich ras. Twórcy przekonują młodych odbiorców, że



Fot. Agata Wszędobyl

człowiek powinien dbać o przyrodę i żyć zgodnie z naturą. Poruszają problem materializmu, zabijania za pieniądze.

W polskiej wersji filmu Edyta Górniak śpiewa, że człowiek wraz z postępową cywilizacją nie zwraca uwagi na otaczające go piękno. Dowiaduje się coraz więcej na temat świata i wszystkiego, co go dotyczy, lecz nie rozumie, że najważniejszy jest człowiek. Ludzie zdobywają coraz więcej, ale nie mają pojęcia dlaczego. Według słów piosenki człowiek postępuje według tego samego schematu, nie zastanawiając się nad czynami.

Na portalu YouTube możemy znaleźć fragmenty bajki. Pod jednym z nich ktoś wypowiedział się następująco: „Mnie to pokonało, rozwaliło, rozbroiło i zmieniło kierunek postrzegania świata od 12 roku życia. Teraz mam 25 lat, jestem żonaty”. Uważam, że „Pocahontas” naprawdę nietrudno pokochać dzieciom, ale i dorosłym.

„Mulan” Disneya została stworzona w oparciu o chińską legendę. Opowiada ona o Hua Mulan, która w trosce o starego, schorowanego ojca udaje mężczyznę i zaciąga się

do chińskiej armii. Bajka mówi o tym, jak ważna jest rodzina i poświęcenie dla krewnych. Demonstruje, jak wartościowe jest dążenie do celu i że najważniejsze są chęci. Uczy, że należy wierzyć w siebie, aby osiągnąć sukces. Produkcja pokazuje też inny problem – nieszanowania kobiet. Prezentuje, jak różni się podejście do kobiet od podejścia do mężczyzn.

„Król Lew”, wyreżyserowany przez Rogera Allersa i Roba Minkoffa, to moim zdaniem najwspanialsze Disneyowskie dzieło. Jest to jedyna bajka, która porusza wszystkie ważne w życiu aspekty. Pokazuje, że warto podnieść się po porażce, aby odnieść sukces i odnaleźć samego siebie. Film uczy, że kiedy jest się bardzo zagubionym i kiedy środowisko oraz otaczający nas świat wpływają na nas niekorzystnie, nie należy zapominać, kim naprawdę jesteśmy. Nie powinno się uciekać przed przeszłością, która często boli, tylko dumnie stawić jej czoło. Bajka uczy dzieci, że powinno się słuchać rodziców, aby uniknąć problemów, mówi również o kręgu życia, idealnej harmonii, jaka występuje w przyrodzie.

Myślę, że kiedy najmłodszy widzowie oglądają tego typu produkcję, naprawdę wiele się uczą, nawet jeśli nie rozumieją wszystkich zawartych w nich wątków. Kiedyś pojma, jak ważna jest rodzina, odwaga, honor, równość i szanowanie otaczającego świata.

AGATA SEMENOWICZ

Wojna w wersji light

Wstają o świcie, zakładają sfatygowany mundur i wyruszają w stronę lasu z bronią na ramieniu. Kolumbijscy partyzanci? Nie – airsoftowcy!

Ostatni rzut oka w stronę domu ojczystego. Nadszedł już czas, wyruszam na wojnę – na szczęście tylko na plastikową amunicję. Wybieram się na tzw. strzelankę, czyli spotkanie miłośników rozrywki zwanej airsoftem.

– To w zasadzie nieco bardziej rozwinięta wersja podwórkowych zabaw z pistoletami na kulki – rzuca ironicznie mój znajomy Czarek, który zaprosił mnie na niedzielne strzelanie.

– Tak naprawdę staramy się jak najwierniej odtworzyć realne pole walki. Jeśli dowódca wyda rozkaz, masz bez szemrania wykonać. Jeśli dostaniesz, natych-

miast przyznajesz się i schodzisz. A jeśli ktoś przyłapie cię na oszustwie – najprawdopodobniej na żadną strzelankę nie zostaniesz już wpuszczony.

Airsoft, często mylony z popularnym paintballem (o czym później), ma swoje korzenie w zmilitaryzowanych państwach Korei Południowej i Tajwanu. Jest to metoda bezpiecznego szkolenia militarnego, zaadaptowana na Zachodzie jako forma rozrywki. Broń stanowią wierne repliki prawdziwych karabinów czy pistoletów, zaś amunicję niewielkie plastikowe lub ceramiczne kulki.

– Tutaj leży podstawowa różnica. Paintball to zabawa le-

niowych mieszczuchów, gdzie potrzebny jest sędzia, a pomiędzy partiami piecze się kielbaski i popija piwo. W airsoftcie przy niektórych scenariuszach przez parę dni nie wychodzisz z lasu niczym na prawdziwym froncie. A przede wszystkim całość opiera się na uczciwości, tutaj nie potrzeba farb. Nie da się udowodnić, że ktoś został trafiony i większość zasady respektuje.

Tymczasem przybliżyliśmy na miejsce. Obok samochodów krząta się pełno umundurowanych na modłę amerykańską, polską czy rosyjską amatorów mocnych wrażeń. Warto wspomnieć, że kilka lat temu pewien mieszkaniec Kozanowa (nie bez podstaw, biorąc pod uwagę poziom realizmu) uznał strzelankę za obóz szkoleniowy terrorystów, co skończyło się nieprzyjemną dla uczestników interwencją ABW. Panuje więc ścisły rygor – broń można wyciągnąć z pokrowca jedynie na miejscu, wśród swoich. Żadnego paradowania z kałasznikowem po ulicy.

Około 50 osób biorących udział w grze zostaje rozdzielonych na dwie drużyny, po czym wyrusza do lasu na swoje pozycje. Mam czas, żeby przyjrzeć się niektórym z nich. O dziwo, średnia wieku nieco przed trzydziestką. Niektórzy ubrani w dres i zielony

T-shirt, inni dla odmiany niczym nie różniący się od żołnierzy marines w Afganistanie. W kolumnie dostrzegam nawet parę przedstawicielek płci pięknej.

Zaczyna się. Dowódca naszej strony, niczym rasowy kapral, soczystym językiem nakreśla cele, jakie stoją przed każdą z drużyn.

Nam przypadło zadanie kluczowe – gdy inni prowadzili frontalne natarcie, nas miał czekać rajd za liniami wroga i przechwycenie flagi. Uda się?

Kilka godzin minęło jak kilkanaście minut. Po ogłoszeniu końca strzelanki polna droga

zapełnia się kombatantami niedawnego starcia. Idę więc, w obcierających butach, zabłoconym mundurze i niemiłosiernie pokąsany przez komary. Ale kto by się tym przejmował! Adrenalina buzuje, w dłoniach nadal czuję flagę nieprzyjaciela – którą udało mi się niestety przenieść tylko o kilka metrów, zanim ustrzelił mnie wrogi snajper.

Później powrót do samochodu, pożegnanie z nowymi druhami i powrót do domu. A w drodze zadaję wreszcie Czarkowi sakramentalne pytanie: kiedy następną strzelankę?

BARTŁOMIEJ KOPCIUCH

KRÓTKO, A TREŚCIWIE

Żywot początkującego dziennikarza

„Jak się chce być dziennikarzem, to trzeba się szybko zastanawiać” – powiedział kiedyś reżyser Wojciech Nowak.

Siedzę i myślę. I wymyślić nie mogę. Co pisać? Co opisać? Jak to zrobić? I nagle jakiś pomysł, ale nie, to już było, a później następny i jeszcze pięć, i piętnaście, i pięćdziesiąt pięć. Siedzę już drugą godzinę, przytłoczona i zdeprymowana. Myślę mniej intensywnie. Ale zaraz, zaraz. Wpadłam wreszcie na pomysł niegłupi. I mówię na głos: Jak trudny jest żywot dziennikarza.

Trzeba mieć pomysł, gadane i ambicję. W końcu więc siadam i piszę, bo pomysł już mam. Teraz słowa, zdania, przecinki. Dobra, już wiem! Na końcu zdania przecinek, a w środku kropka. Chociaż nie. To chyba było odwrotnie. Dobra, mam

pierwsze zdanie, o – i już trzecie. Teraz jeszcze rozwinięcie i jakaś puenta, może jeszcze cytat dorzucę, coby było bardziej inteligentnie. Napisałam! Koniec, marny the end.

Drukuję. Sztuk pięć. Wysłałam do redakcji. Jednej, drugiej, piątej. Może ktoś się odezwie. Może przyjmą mój tekst. Trzy dni minęły. Nikt nie zadzwonił. Myślę – może nie chcą mojego tekstu? Siedzę przy telefonie. Dłonie mam spocone. Niech ktoś zadzwoni! Proszę, niech ktoś zadzwoni! Minął tydzień, nikt się nie odezwał. Ambicję dalej mam. Teraz siedzę i zastanawiam się nad nowym pomysłem.

PATRYCJA KUŁAKOWSKA



Fot. Magda Pacek

Sportowa szlifierka

Zaczął się od kurierów rowerowych. Jedni z najlepszych w Polsce, wrocławscy doręczyciele paczek pocztowych, prawdziwi pasjonaci dwóch kółek, zapoznali się i szybko zafascynowali grą w bike polo. Swoimi doświadczeniami dzielili się z młodymi ludźmi między innymi podczas alleycatów, miejskich zawodów na rowerach.

Nowy sport szybko zyskał wielu zwolenników. Nic dziwnego, bo jest on doskonałą alternatywą dla ganiań do znudzenia za piłką futbołową lub królującą na lekcjach wychowania fizycznego siatkówką czy koszykówką. Do rozpoczęcia tej podwyższającej poziom adrenaliny zabawy potrzebne jest spore, prostokątne boisko z dwiema małymi bramkami oraz sześciu zawodników wyposażonych w rowery i kije.

– Sprzęt wykonujemy sami – mówi Szymon Gryś, licealista z XIV Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu, gracz polo – tak zwane młotki robimy z kijków narciarskich, do których doczepiamy kawałek rury PCV. Jeśli chodzi o rower, sprawa jest nieco bardziej skomplikowana.

Zorganizujmy sobie rower, kij przypominający młotek na długiej ręczce i niewielką piłkę. Zbierzmy dwie trzyosobowe drużyny, znajdziemy betonowe boisko, ustawmy na nim bramki i już możemy zacząć grać w bike polo!



Rys. Ania Rzętała

Najlepszy jest taki bez zbędnych dodatków. Bardziej zaawansowani jeżdżą na „ostrym kole”, gdzie jest możliwość jazdy do tyłu. Nie ma on hamulców, przerzutek ani wolnobiegu. To znaczy, że liczba obrotów pedałów ma bezpośrednie przełożenie na obracanie się kół.

– Jeździ się na nim nieco inaczej – kontynuuje Szymon – ja szybko się przyzwyczałem, jednak wiem, że muszę bardziej uważać niż na zwykłym rowerze. Zasady są całkiem proste. Gra się na czas lub do ustalonej liczby punktów. Nie wolno dotykać nogą ziemi, a w przypadku takiego przewinienia zawodnik musi dojechać do specjalnie wyznaczonego miejsca i dopiero wtedy może powrócić do gry.

Z kolei gole liczą się tylko wtedy, gdy piłkę (przypominającą tę do street hokeja) uderzymy węższą częścią młotka.

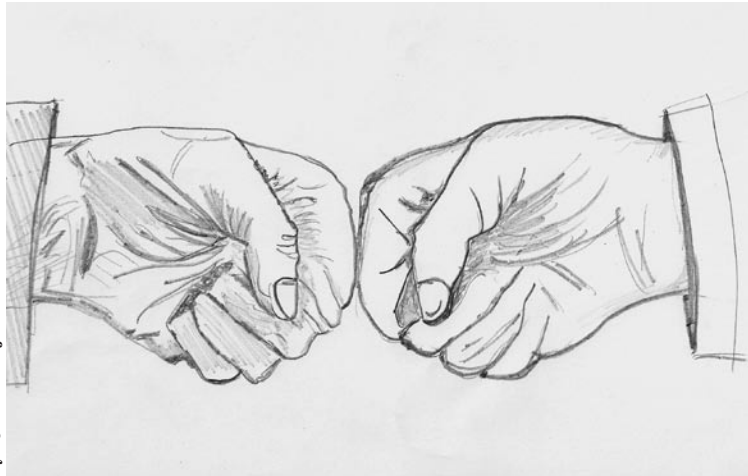
Grupa miłośników bike polo z Wrocławia nie stanowi regularnej drużyny. Granie sprawia im wielką frajdę. Można ich spotkać wieczorami na placu Społecznym. Do wspólnych rozgrywek zachęcają każdego. – To świetny sport, który wymaga ogromnej koordynacji ruchów, by podczas dynamicznych meczów potrafić jednocześnie zapanować nad rowerem i strzelać gole – wypowiada się Andrzej Kwak.

Potwierdzeniem coraz większego zainteresowania grą jest chociażby wysoka frekwencja młodych ludzi uczestniczących w warsztatach podczas festiwalu Slot Art w Lubiążu. Zwolenników nie brakuje również w innych miastach Polski. Liderami są grupy z Krakowa i Poznania. W rozwój tego sportu zaangażowane jest również stowarzyszenie WROSTRO, które organizuje, ciesząc się dużym powodzeniem, zawody związane z ostrokołowymi dyscyplinami.

OLGA LEGEĆ

Całuję rączki

Nie ma żadnej powszechniej znanej czynności – nie wliczając funkcji życiowych – od powitania. Witamy się codziennie i to wiele razy oraz z różną manierą. Odmienne z szefem w pracy, w inny sposób z partnerem, a jeszcze inaczej z kolegą. Rodzaje powitań ewoluowały podobnie jak człowiek. Lecz co miało na to zjawisko wpływ?



Rys. Jan Choczał

Zaczynając od prehistorii i naszych przodków – głośnie i dzikie krzyki oraz, wydawać by się mogło, niezbyt miłe, upośledzone ruchy. Skok do średniowiecza i pocałunki mężczyzn w usta bez niepotrzebnego pośpiechu. A obecnie? Różnorodność, która niejednego zadziwi.

Co kraj, to obyczaj

O tym, że wybierając się do Francji, Niemiec czy Wielkiej Brytanii, musimy pamiętać o formalnym sposobie przywitania – sztywną ręką, dystans do dwóch kroków

i energiczne potrząśnięcie dłonią – chyba każdy wie. Pomijając już wymówienie na początku swojego stopnia naukowego bądź służbowego. Na większą spontaniczność i wylewność możemy pozwolić sobie w krajach arabskich – uściski, pocałunki w policzki i luźne pogawędki. Składanie ukłonów w Japonii też nie jest jednakowe. Człowiek młodszy i podwładny musi skłonić się niżej – mężczyzna z dłońmi na kolanach, a kobieta ze złożonymi przed sobą. Natomiast wszystkim dobrze znany niedźwiedzi uścisk praktykują Rosja-

nie, dla których dystans nie odgrywa prawie żadnej roli.

A może noskiem o nos? Tak też można! Eskimosi to wiedzą najlepiej. Powód, dlaczego akurat taki sposób, jest prosty. W Arktyce niełatwo jest się rozgrzać. A pierwsze, najbardziej podatne miejsce na wychłodzenie, to właśnie nos. Więc pocieranie ogrzewa go i od razu czujemy się lepiej. Niektórzy z nas nadal żyją w przekonaniu, że tak jest naprawdę.

Żółwik i high five

Nie tylko młodzi ludzie przybijają sobie tak zwane żółwiki, czyli zbliżenie do siebie dłoni zacisniętych w pięść. Ten gest stał się popularny na całym świecie, gdy pewien rockman wykonał go na jednym ze swoich koncertów. Niestety, nie wszyscy odczytują go pozytywnie. A już na pewno nie dziennikarka amerykańskiego „Fox News”. Żurnalistka w 2008 roku stwierdziła, że żółwik przybity przez ówczesnego kandydata na prezydenta USA Baracka Obamę z jego żoną Michelle był tajnym gestem członków Hezbollahu, czyli libańskiej partii politycznej islamskich szyitów. Rozdmuchany w mediach obciach – bynajmniej nie pary prezydenckiej – został nazwany aferą pięściową „Fistgate”.

Stopniowo wypierana z mody przez żółwika wysoka piątka, również znana na całym świecie, została wykreowana przez Monta Sleetsa w połowie dwudziestego wieku. Gest ten dwuletni chłopczyk wyniósł z domu, od swoich rodziców, weteranów wojennych. Później zaczął używać go pod-

czas meczów koszykówki w swojej drużynie. Był to znak, który w szybkim tempie stał się modny wśród młodych.

I choć gestów jest wiele, jeden w dwóch różnych miejscach może mieć zupełnie inne znaczenie.

JOANNA CYMBOR

Wszechnicę odwiedzili

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

23 września Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska gościła pana Pawła Petrykowskiego, rzecznika prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Gość opowiedział nam, czym się zajmuje i jak wygląda porządek jego pracy. Uświadomił nam, że rzecznikiem stawał się, wspinając po kolejnych szczeblach kariery w policji. Przybliżył nam również, jak wygląda przygotowanie służb porządkowych pod kątem święta sportowego, jakim będzie Euro 2012, podkreślając jednak, że należy w tym wypadku być wyrozumiałym, a nie ślepym na akty wandalizmu. Poruszył także kwestię kibiców oraz zakazów stadionowych.

30 września naszym gościem był Bartosz Rutkowski, były dziennikarz Akademickiego Radia LUZ. Opowiadał o tym, czym zajmuje się dziennikarz radiowy na poszczególnych stanowiskach. Przedstawił plusy i minusy pracy w radiu. Podkreślał, że bardzo ważna

jest edukacja i zachęcał gorąco do studiowania, bo to zdaniem pana Bartosza jest największą zabawą. Pod wpływem jednego z pytań wywiązała się dyskusja na temat poszczególnych, znanych nam stacji radiowych. Nasze spotkanie zakończyło się wymianą gustów muzycznych, z naciskiem na to, że każdy ma prawo posiadać swój.

W piątek, 30 września, członkowie MWD zostali zaproszeni do wrocławskiego kina Helios na pokaz premierowy filmu „1920 Bitwa Warszawska” w reżyserii Jerzego Hoffmana. Po obejrzeniu spektakularnego obrazu mieliśmy możliwość uczestniczenia w konferencji prasowej z reżyserem i ekipą filmową, m.in. Sławomirem Idziakiem – autorem zdjęć, Jerzym R. Michalukiem – producentem, Jarosławem Sokołem – scenarzystą czy Tomaszem W. Biernawskim – konsultantem ds. koni i jeździectwa. Twórcy filmu udzielali nam odpowiedzi na pytania i pozwalali do zdjęć.

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

Adres redakcji: ul. Hauke-Bosaka 33, 50-447 Wrocław; www.lo13.wroc.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu

Opiekun: Wojciech Chądzyński

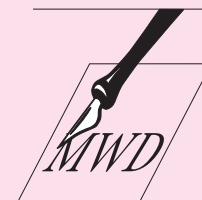
Redaktor naczelny i Przewodniczący MWD: Tomasz Krajcarski tel. 607 961 674

Szefowa fotoreporterów: Magda Pacek

Sekretarz redakcji: Anna Rzętała

Przygotowanie do druku: I-Bis Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c. tel. (071) 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.30 do XIII LO przy ul. Hauke-Bosaka 33.